

**Elżbieta Woźnicka**

Akademia Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi

## ***Urzekli mnie moi uczniowie... – osobiste refleksje we wspomnieniach Profesor Olgi Czerniawskiej***

*My students have enchanted me... – personal reflections  
in the memoire of Profesor Olga Czerniawska*

**Streszczenie.** Artykuł przedstawia wspomnienia Profesor Olgi Czerniawskiej, wielkiej humanistki, pedagoga, profesor zwyczajnej andragogiki i gerontologii. Profesor Olga Czerniawska była wieloletnim nauczycielem akademickim, profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Łódzkim, a po przejściu na emeryturę Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi. W swoich wspomnieniach wraca Pani Profesor do lat szkolnych i studenckich. Szczególnie zachowała w pamięci okres działalności w stowarzyszeniach i pierwszej pracy. Z narracji Profesor Czerniawskiej dowiadujemy się o znaczących momentach w jej życiu oraz osobach, które spotkała na swoje drodze naukowej i osobistej.

**Słowa kluczowe:** szkoła, stowarzyszenia, biografia, uczeń dorosły.

**Summary.** The article is about the memories of Prof. Olga Czerniawska who is a recognized humanist, educator, and professor of andragogy and gerontology. Professor Olga Czerniawska was a long-standing university teacher, as well as the professor at the University of Lodz. After the retirement she was also the professor at the Academy of Humanities and Economics in Lodz. In her memories, professor Czerniawska goes back to her school and student years. She especially kept in mind the period of her activities related to associations and her first professional work.

From narration of Professor Olga Czerniawska we learn about crucial moments in her life as well as the people whom she has met on her academic and personal path.

**Keywords:** school, associations, biography, adult learner.

Życie z perspektywy czasu nabiera znaczenia i wartości, o czym nie tylko możemy czytać w literaturze pedagogicznej, psychologicznej czy gerontologicznej, ale dowiadujemy się tego i doświadczamy słuchając wspomnień osób, które poświęciły swoje życie pracy z innymi i dla innych. Taką osobą jest Profesor Olga Czerniawska, która wszystkie lata swojej pracy: nauczycielki, wykładowczyni, profesor zwyczajnej, a także kierownika Zakładu Oświaty Dorosłych UŁ, Katedry Teorii Wychowania UŁ i Katedry Andragogiki AHE poświęciła pracy z innymi i dla innych. Wspomnienia Profesor Olgi Czerniawskiej są bardzo osobiste, wiążą się z Jej drogą życiową, rozwojem duchowym i religijnym. Dzieli się z nami swoimi wspomnieniami z pierwszych lat pracy zawodowej, trudnościami, z jakimi się spotykała. Poznajemy pewne fakty z życia Pani Profesor, które dla jej współpracowników i uczniów były dotychczas niezbrane. Profesor Czerniawska chce również w swoich wspomnieniach zachować obraz pewnej rzeczywistości okresu powojennego. Wspomina trudności, na jakie napotykały osoby należące do organizacji religijnych czy społecznych w odradzającej się Polsce po II wojnie światowej. W swojej pamięci szczególnie zachowała działalność stowarzyszeń, które formowały i kształtowały charaktery młodych ludzi w tamtym okresie. Poznajemy Panią Profesor jako działaczkę stowarzyszeń, wspierającą innych, pracującą na rzecz potrzebujących. W dorobku naukowym Profesor Czerniawskiej działalność stowarzyszeń znajduje znaczące miejsce, zawsze podkreśla i docenia ich rolę w środowisku. Do dziś Pani Profesor odznacza się wyjątkową umiejętnością działania dla innych, współdziałania z innymi i szczególną troską o losy innych. Jako uczniowie i współpracownicy Profesor Czerniawskiej często doświadczaliśmy i doświadczamy tego zainteresowania. Z narracji Profesor Czerniawskiej dowiadujemy się o Jej zainteresowaniach, które uformowały się pod wpływem profesora Aleksandra Kamińskiego – promotora pracy doktorskiej Pani Profesor. Ze wspomnień Profesor Czerniawskiej wyłania się też jej fascynacja pracą z dorosłymi, a szczególnie samymi dorosłymi jako uczniami. Pierwsze doświadczenia zawodowe i dydaktyczne Profesor Czerniawskiej obejmują okres pracy w liceum dla dorosłych. Właśnie one zdecydowały o kierunku zainteresowań naukowych Pani Profesor. Do tej pory faworyzowanym określeniem Profesor Czerniawskiej dotyczącym edukacji dorosłych jest szeroko rozumiana „oświata dorosłych”, ze względu na całościowy wpływ i kształtowanie uczącego się dorosłego, nie tylko pod względem zaspokajania jego potrzeby wiedzy, uzupełnienia wykształcenia, ale również potrzeb kulturalnych, rozwoju zainteresowań, rozwijania umiejętności. Takie szerokie rozumienie uczącego się dorosłego było i jest bliskie rozważaniom Profesor Czerniawskiej. Do

dziś charakteryzuje Ją podmiotowe podejście do dorosłych uczących się i tak też traktuje swoich studentów i uczniów. Dla swoich uczniów i współpracowników do teraz Profesor Czerniawska stanowi niedościgniony wzór rzetelności, pracowitości, odpowiedzialności, dzielności i stawiania sobie wysokich wymagań. A swoich uczniów zawsze postrzegała nie tylko jakimi są, ale jakimi być mogą.

W 2015 r. Profesor Olga Czerwińska obchodziła swój Jubileusz 85. urodzin, 60-lecia pracy, w tym 20-lecia pracy w AHE. W trakcie tej uroczystości honorowaliśmy Panią Profesor jako wybitnego naukowca, andragoga, gerontologa, prześledziliśmy jej całą karierę naukową, pracę na Uniwersytecie Łódzkim i w Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej, poznaliśmy liczne dokonania naukowe, organizowane konferencje, wydane publikacje. Znamy bezcenny wkład Profesor Olgi Czerniawskiej w rozwój andragogiki i gerontologii nie tylko w Polsce, ale również za granicą. Jej udział w rozwoju badań biograficznych oraz oryginalność podejmowanych problemów badawczych. Natomiast we wspomnieniach Pani Profesor poznajemy Ją jako uczennicę, działaczkę stowarzyszeń, młodą nauczycielkę w szkole dla dorosłych. Dowiadujemy się o ważnych wydarzeniach i znaczących osobach, które miały na nią wpływ i ją ukształtowały.

### ***Wszystko działa się naprawdę, na poważnie...***

Mam opowiedzieć o swoim życiu. Moje życie jest długie i obejmuje pewne epoki, pewne czasy, które przeszły i już nie powrócą. Nie przyjdą takie same. Urodziłam się w Łodzi w 1930 r., jako drugie dziecko, a więc po I wojnie światowej i przed II wojną. Mój tata był lekarzem weterynarii, mama zajmowała się domem, ale była wykształconą kobietą, studiowała psychologię w Szwajcarii, znała języki obce: mówiła po francusku, znała j. niemiecki i uczyła się j. angielskiego. Epoka mojego dzieciństwa przypada na okres odradzającej się Polski, budowy wszystkich instytucji po rozbiorach. I muszę powiedzieć, że ten okres mojego dzieciństwa przed II wojną światową postrzegam jako okres naprawdę ważny. Wszystko działa się naprawdę poważnie. Ludzie każdą swoją pracę, każde zajęcie, cokolwiek robili, traktowali bardzo poważnie, nie tylko jako rzecz, którą powinni robić, ale jako swoje powołanie. Wtedy powstawały przede wszystkim szkoły, cała sieć edukacyjna, z której ja korzystałam, korzystała moja siostra i które w tej chwili w jakiś sposób do nas powróciły w badaniach naukowych, szczególnie w pracy

dr Katarzyny Wypiorczyk-Przygody, która opisała jedną z prywatnych szkół w Łodzi, badała jej absolwentki i obraz szkoły w ich narracjach.

To były takie czasy, że każdy, czymkolwiek się zajmował, traktował to jako swoje powołanie życiowe i ważne działanie. Czy to była woźna w szkole, czy higienistka, czy nauczycielka, czy dyrektorka... One miały misję edukacyjną, misję wychowania w żeńskich szkołach pań na przyszłe dobre kobiety, matki-Polki, patriotki, a chłopców na odpowiedzialnych, męźnych i dzielnych męzczyzn. Także taką funkcję pełniły stowarzyszenia społeczne, głównie harcerstwo, ale i stowarzyszenia katolickie, wyznaniowe, żydowskie czy jeszcze inne działające w tych czasach. One rzeczywiście spełniały swoją misję i starały się realizować ideały i zasady, jakie funkcjonowały w danej instytucji. Chciałabym o tym opowiedzieć, bo ja się z takimi stowarzyszeniami zetknęłam, przeżyłam ich działalność i aktywnie w nich uczestniczyłam. To już było po II wojnie światowej, kiedy jako młoda dziewczyna w trakcie wakacji przebywałam na obozie zorganizowanym w Łodzi przez ojca Rostworowskiego i inne osoby, a wśród nich siostry urszulanki szare. Były to obozy, które miały na celu odrodzenie katolickiej organizacji – Sodalicji Mariańskiej, szkolnej Sodalicji Mariańskiej. Takie obozy były organizowane w Zakopanem w Jaszczurówce, gdzie siostry urszulanki miały swój klasztor. Naprzeciwko klasztoru w Jaszczurówce wynajęto willę i tam przyjechały dziewczęta z Łodzi i z Krakowa. Z Łodzi nas było ok. 30 i ta grupa miała stać się załążkiem Sodalicji w gimnazjach żeńskich. Wtedy w szkołach nie było koedukacji, tylko były żeńskie i męskie gimnazja, więc myśmy były tym żeńskim gimnazjum, żeńską odnogą stowarzyszenia. I tam się spotkałyśmy i miałyśmy swoich opiekunów. Ksiądz Rostworowski odwiedził nas tylko w czasie rekolekcji. Był z nami ksiądz Arcap i Pniewski – oni byli moderatorami tych spotkań i jeszcze był ksiądz z Krakowa, którego nazwiska już nie pamiętam.

Miałyśmy zebrania, na których przede wszystkim mówiło się o idei stowarzyszenia, o obowiązkach. Myśmy były przygotowane do wstąpienia do Sodalicji, tam miałyśmy taki obrząd – uroczystość przyjęcia do Sodalicji Mariańskiej, następnie prowadzone były zajęcia, wykłady, pogadanki, odbywałyśmy liczne wycieczki, właściwie tylko my chodziłyśmy po górach. Spotykało się na szlakach zasłużonych taterników. Ale Zakopane było puste, góry były puste, były to czasy, gdy w górach byli jeszcze partyzanci, więc było niebezpiecznie, szczególnie wieczorem. Nie chodziło się wieczorami. A obok Jaszczurówki w Cyrli, gdzie rezydowały męskie obozy chłopców z Warszawy prowadzone przez księży marianów, byli młodzi członkowie tego stowarzyszenia i zakonu. Ci młodzi księża wstąpili do zakonu w przeddzień po-

wstania warszawskiego. Miano im za złe, że się schronili pod sutannami i nie walczyli w powstaniu. Ale z drugiej strony uważano, że uchroniło ich to przed śmiercią. Było ich ok. 20 czy 17 młodych mężczyzn. Oni pokończyli później studia, niektórzy z nich byli bardzo wybitni. Jeden z nich, ksiądz Okoński, tak się chyba nazywał, napisał książki dla chłopców, uświadamiające młodych, dorastających mężczyzn. Była to wybitna postać, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie stworzył całe miasteczko dla chłopców, napisał książkę o ich formowaniu. Jego siostra – Maria Okońska stworzyła świecki instytut kobiet, myśmy się tam spotykali.

Był to ewenement, bo zewsząd socjalizm, a myśmy mieli bardzo patriotyczne ogniska, gdzie śpiewano pieśni harcerskie i inne pieśni. Były opowieści i pieśni o powstaniu warszawskim, różne wspomnienia. To było coś niesłychanego jak się szło na tę Cyrłę, najpierw szosą, a potem wracałyśmy wieczorem do siebie na Jaszczurówkę. To było bardzo podniosłe wychowanie religijno-patriotyczne, a poza tym były miłości, sympatie, zakochania, umawiania się po zakończeniu obozu, wyjazdu do Warszawy. Niektóre koleżanki jeździły, żeby się spotkać z tymi młodzieńcami zapoznanymi na obozie. A spośród tych pierwszych młodych marian większość została w zakonie, ale niektórzy wystąpili. Część pracowała naukowo, część zajmowała się czymś innym. Ich losy były bardzo różne. W każdym razie była to szkoła patriotyzmu.

A po skończonym obozie, który trwał 3–4 tygodnie, wracałyśmy do domu i zaczynała się samodzielna działalność w stowarzyszeniu. Nie wiem dlaczego, jak to było i jak to się zaczęło. Ksiądz, nie pamiętam dobrze który, chyba Pniewski, zaproponował mi, abym była prezeską, a w zasadzie zastępczynią prezeski międzyszkolnej Sodalicii w Łodzi, żeby zorganizować Sodalicję żeńską w gimnazjach. Prezeską została koleżanka, która potem była profesorem na fizyce i chyba nadal jest profesorem zwyczajnym fizyki oraz pisarką, była to bardzo zdolna osoba. A ja byłam jej zastępczynią i organizowałyśmy w poszczególnych gimnazjach, bo byłyśmy z różnych szkół, spotkania dla dziewcząt. Najpierw więc uczestniczyłyśmy w obozie, a potem organizowałyśmy Sodalicję w swojej szkole. Ja byłam ze szkoły od Czapczyńskiej, a była też dość duża grupa ze Sczanieckiej – to było państwowe gimnazjum. Z tej Sczanieckiej kilka osób wstąpiło do zakonu, do karmelitanek.

We wszystkich szkołach założyłyśmy Sodalicję, a potem powstało coś, co się nazywało Sodalicją międzyszkolną, myśmy się spotykały u sióstr urszulanek. Raz na miesiąc miałyśmy spotkania z referatem i dyskusją. Organizowało się też rekolekcje na ulicy Czerwonej u urszulanek. Przeważnie zapraszany był ojciec Rostworowski, który prowadził rekolekcje. Były to zu-

pełnie inne czasy, bo ojciec Rostworowski, kiedy wracał z nami wieczorem, to musiał iść pierwszy, my kilka kroków za nim. Broń Boże, żeby koło niego ktoś był. Byłoby to nieprzyzwoite. Myśmy szły daleko. Była zachowana pewna hierarchia. Zawsze chodził w sutannie, nie po świecku.

Obozów było kilka. Potem kuratorium nie pozwalało na organizowanie obozów przez księży, więc prowadził je Caritas. Ich organizacja, m.in. wyżywienie, finansowana była z pomocy zagranicznej, z UNRY, więc jedzenie było bardzo dobre. Na owe czasy to były puszki, brzoskwinie, konina, ryby. Pamiętam też taki obóz, że jedzenie było niebywale okropne, kucharka była bardzo słaba, głównie podawała nam jedzenie z puszek na talerzach i to jedzenie tak stało i czekało na nas.

### ***Urszulanki były perfekcyjne...***

I rozpoczęły się na Cyrli obozy akademickiej Sodalicii. Mieliśmy kontakt z ojcem Tomaszem Rostworowskim. Ojciec Tomasz mnie sobie upatrzył i w czasie ferii zaprosił mnie na kursy, które były prowadzone dla tak zwanej kadry organizacyjnej. W Częstochowie organizowano te kursy. Z całej Polski przyjeżdżali przedstawiciele Sodalicii szkolnej i akademickiej. Spotykaliśmy się na tych kursach, co było bardzo ciekawe, bo brali w nich udział bardzo zdolni ludzie. Część z nich pracowała potem na uczelniach, część działała w polityce. Te spotkania prowadzili księża jezuiti. Stały one na bardzo dobrym poziomie. Ale wszystko odbywało się w bardzo skromnych warunkach higienicznych i materialnych. Marne jedzenie, zimno, nawet u jezuitów w domu rekolekcyjnym w Częstochowie było tak zimno, że coś okropnego. Ledwo, ledwo kaloryfery grzały, bo była bieda, a my nie płaciłyśmy za to. Zresztą pierwszy raz jak się jechało z Łodzi, to trzeba było wszystko zabrać. Urszulanki były perfekcyjne. Zabierałyśmy wazy, jakieś eleganckie talerze, sztuczce, wszystko z Łodzi. Nie tylko zastawę, ale i mąkę, cukier, kaszę, a nawet kiszoną kapustę w beczkach... Wszystko zabierałyśmy pociągiem. Pamiętam, że były szerokie i wąskie tory. W Krakowie trzeba było zmienić pociąg z jednego toru na drugi, to myśmy, same dziewczęta, prznosiły kapustę z jednego peronu na drugi. Wszystko miałyśmy ze sobą, nawet cukier, mąkę. Nic nie można było kupić, była bieda, a najczęściej to były produkty z darów.

Urszulanki to były bardzo dobrze zorganizowane siostry, perfekcjonistki. Jedna z sióstr była po kursach przysposobienia wojskowego kobiet. To przygotowanie wojskowe się przydało. Była bardzo wymagająca i w wojskowym stylu wszystkiego pilnowała. Jak miałyśmy dyżury w kuchni i była

zupa kartoflana, to jeśli warzywa miały być pokrojone w plasterki, to wszystko w plasterki, jak była kostka, to wszystko w kostkę, broń Boże się nie pomylić. Zupy podawało się w wazach na stoły, każda z wazy brała sobie na talerz. Musiała być pełna zastawa: łyżka, widelec, wszystko podane na półmisku, pomimo biedy i prostoty, to było eleganckie. Rzeczywiście praca wychowawcza szła w tych stowarzyszeniach.

Myśmy w Sodalicii były podzielone na orszaki. Każdy orszak miał przewodniczącą, która organizowała spotkania. Miałśmy spotkania, w czasie których omawiany był plan działania, kto się czym będzie zajmował, np. pracą nad sobą. Sodalicja była instytucją formacyjną, zresztą nie tylko Sodalicja, bo i harcerstwo tak pracowało, i Eleusis tak pracował. W czasie świąt piekłyśmy ciastka, robiłyśmy paczki i koleżanka ze wsi te paczki rozprawała na wsi do biednych i potrzebujących rodzin. Była takim świętym Mikołajem. Podejmowałyśmy różne dobroczynne działania. Wszystkie sodalicje tak pracowały.

Ale to było do momentu, kiedy socjalizm energicznie wkroczył do szkół i okazało się, że Sodalicja nie może dalej działać. Rozwiązane zostały wszystkie religijne instytucje, łącznie z harcerstwem, które odtąd miało być socjalistyczne. Koniecznie we wszystkich szkołach powinno być ZMP. Był jeszcze tolerowany OMTUR (Organizacja Młodzieżowa Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych), bo ta organizacja podchodziła pod PPS. To samo było w naszych prywatnych szkołach. Pamiętam, że przyszedł wizytator i sprawdził, jakie organizacje działają w szkole. Okazało się, że u nas działa tylko Sodalicja. No to już było wiadomo, że nie jest to dobrze widziana organizacja. Dyrektor nam mówił: „działajcie, ale nic nie mówcie”. Działalność charytatywną prowadziłyśmy w tajemnicy i dalej kontynuowałyśmy pieczenie ciastek i robienie paczek.

### ***Koleżanki z jednej ławki, a w zasadzie stołu...***

Zanim zdało się na uczelnię, zanim było się przyjętym, była rozmowa kwalifikacyjna. Główny egzaminator pytał zawsze o stowarzyszenia. Ja nic nie mówiłam, ale on wiedział wszystko. Nie wiedział, że ja byłam w Sodalicii, ale wiedział, że była Sodalicja w szkołach. Mnie się też pytał o przynależność do Sodalicii czy do stowarzyszeń, ale ja nic nie mówiłam na ten temat. Mówiłam, że byłam zajęta, miałam siostrzeńca, musiałam się nim zajmować. W każdym razie nie miałam z tego tytułu kłopotów, zdałam egzamin i zostałam przyjęta na historię. Ale moje koleżanki nie zostały przyjęte. Jedna



z nich ubiegała się w kilku miastach o przyjęcie na studia. Długo szła za nią opinia o działalności w Sodalicii i dopiero po kilku latach została studentką. Tak za nami szła ta opinia o nas i uczestnictwie w Sodalicii. Bardzo byliśmy inwigilowane, naprawdę tak było.

W czasie studiów zaczęłam chodzić do duszpasterstwa akademickiego przy ul. Sienkiewicza, do jezuitów, tam spotykałam się z innymi członkami Sodalicii szkolnej i akademickiej. Prowadziłam nadal Sodalicję, potem ktoś przejął ją po mnie. W tym czasie należałam do Sodalicii akademickiej, ale już mniej aktywnie. Chodziłam do duszpasterstwa na zabawy, na spotkania, na rekolekcje i tam poznałam mojego męża. Uważam, że Sodalicja działała bardzo prężnie, zresztą harcerstwo tak samo. Z tego okresu do dzisiaj przetrwały przyjaźnie, z niektórymi koleżankami mam kontakt do dziś. To bardzo cenne przyjaźnie, pielęgnowane i zachowane przez lata, jesteśmy sobie bliskie. Koleżanki z jednej ławki, a w zasadzie stołu, siedziałyśmy bowiem przy stołach. Określałyśmy siebie jako „koleżanki ze stołu”, trzymałyśmy się razem i byłyśmy sobie bliskie.

### ***Profesor Kamiński też był z wykształcenia historykiem...***

Z tego okresu pozostały świetne instytucje edukacyjne. Dopóki mogły, odradzały się i pracowały na rzecz młodzieży, odradzały się też zaraz po wojnie szkoły prywatne i państwowe. Tworzyła się oświata oraz szkolnictwo, a potem powstały uczelnie. Uczelnie zostały zorganizowane przez przedwojennych profesorów. Tutaj mam indeks profesora Bokszańskiego, na stronie tytułowej książki, której współredaktorem jest moja córka\*. Jest tu prof. Serejski z historii, który był wybitnym uczonym i wykładał historię średniowieczną Europy i Polski, miał seminarium z historiografii. A mój przyjaciel, dr Bronowski, był u niego asystentem, dlatego też i ja chodziłam na to seminarium. Pierwszą pracę miałam u prof. Zajączkowskiego, on z kolei był dawniej rektorem w Wilnie i zajmował się okresem średniowiecznej Polski i naukami pomocniczymi historii, specjalizował się również w geografii historycznej. I właśnie w zakresie geografii historycznej z nim współpracowałam i u niego pracowałam. Analizowałam dokumenty, kodeksy, wypisywałam z nich nazwy miejscowości. Wszystko to robiłam, ale muszę powiedzieć, że profesor akurat trafił marnie, bo ja tak „pięknie” pisałam, że nie

---

\* Kaźmierska K., Waniek K., Zysiak A. (2015), *Opowiedzieć Uniwersytet. Łódź akademicka w biografii wpisanych w losy Uniwersytetu Łódzkiego*, Wydawnictwo UŁ, Łódź.



mógł mnie przeczytać. Ale nadal pisałam dla niego te opracowania. U niego poznałam prof. Aleksandra Kamińskiego. Profesor Kamiński też był historykiem, pierwsze swoje prace poświęcił Jadźwingom. Prof. Zajączkowski był specjalistą od Jadźwingów, Krzyżaków, a prof. Kamiński przychodził do niego na konsultacje. Ja w tym samym czasie bywałam na ul. Lindleya u prof. Zajączkowskiego. I tam pierwszy raz spotkałam prof. Kamińskiego.

Byłam już wtedy po ślubie, gdyż na pierwszym roku studiów, w 1950 r., zawarłam związek małżeński. Niedługo potem zaszłam w ciążę i póki nie było jej widać, to mogłam pracować, ale były to czasy, że studentka w ciąży to był ewenement. Ludziom myślącym jeszcze kategoriami przedwojennymi w głowie się nie mieściło, że w ciąży można wychodzić, uczyć się. Jedy-nym profesorem, który to akceptował, był prof. Józef Wolski, znawca historii starożytnej. Przyjeżdżał z Krakowa i już jako dojrzały człowiek ożenił się z córką prof. Piotrowskiego. Był zainteresowany posiadaniem dziecka i życiem rodzinnym, jego żona wkrótce zaszła w ciążę. W przerwach między wykładami mieliśmy wspólny temat noworodków, jakie pieluchy, jak się opiekować itp. On mnie akceptował, zawsze mi mówił, że ze względu na ciążę nie muszę przychodzić na wykłady, ale przychodziłam do niego, był to wspaniały człowiek, nadzwyczajny. Miał asystenta, szlachetnego człowieka, dra Kotulę, który był wysokiej klasy człowiekiem, bardzo eleganckim. Mieliśmy zresztą zajęcia w przepięknym miejscu, w pałacyku, w którym teraz jest Towarzystwo Naukowe (przy ul. M. Skłodowskiej-Curie). Tam się odbywały zajęcia z historii starożytnej. Pomieszczenia były jeszcze niezniszczone, umeblowane starymi meblami, pięknie tam było.

### ***Życie jest poważne i nie ma w nim miejsca na manipulację...***

Uniwersytet w tym okresie był między przełomami, to znaczy zachowywał dawną klasę, jeszcze były przedwojenne organizacje, m.in. Koło Historyków, ale już wkradał się socjalizm. Co niektórzy profesorowie starali się koniecznie udowodnić prawa socjalizmu historycznego, walkę klas. Uległ temu niestety profesor Serejski. Były to oczywiście czasy, że należało w każdej pracy cytować Marksa, Stalina i innych. Wkroczyły zajęcia z filozofii marksistowskiej. Zdawało się ten marksizm – „baza” i „nadbudowa” – był to najważniejszy egzamin ze wszystkich. Za pierwszym razem się nie udawało, dopiero za dziesiątym. Pamiętam przykre wydarzenie, że ten, co nas egzaminował, został zabity. Bardzo się nad nami znęcał, to go przysłowiowo mówiąc „skrócili

o głowę”. A potem musieli znaleźć kogoś w jego zastępstwie na jego miejsce. Wtedy to wszystko było prawdziwe i jednocześnie smutne.

Ja miałam szczęście, miałam dobrego profesora. Zajączkowskiego. Prof. Serejski był recenzentem mojej pracy magisterskiej, wszystkie egzaminy zdałam na piątki. Muszę dodać, że chodziłam też na seminaria z historii sztuki do prof. Białostockiego i prof. Walickiego. W tamtych czasach na historii były same świetne nazwiska. Studia skończyłam w terminie, a to był sukces! W czasie moich studiów była dziwna moda. Trzeba było wykazać się socjalistycznie, najlepiej należąc do organizacji socjalistycznej. Był też taki zwyczaj, a nawet wymóg, poddawania się samokrytyce. W czasie tej samokrytyki, trzeba było się tłumaczyć, czego się nie zdało, czego się nie zaliczyło i dlaczego. Pamiętam, że kiedyś jakąś książkę z biblioteki przetrzymałam, a asystent, który był partyjny i ubowiec, powiedział mi, że popełniłam straszliwe wykroczenie. Miałam oddać po południu, a oddałam rano. Zostałam skrytykowana za to, że gdyby ktoś chciał ją przeczytać od rana i nie byłoby jej, to jaka to byłaby strata. Zostałam wykrzyczana, osądzona o sabotaż. W zasadzie mnie się nie mogli czepiać, bo ja miałam wszystkie przedmioty zaliczone, egzaminy zdane i to na piątki, w terminie. Ale były to straszne czasy i sytuacje, a ta samokrytyka przed całym rokiem wręcz upokarzająca. Bardzo to były smutne i przykre stosunki między ludźmi i sposób traktowania innych.

Trochę na mnie krzywym okiem patrzyli. W tych czasach na uczelniach byli różni ludzie, ludzie, powiedzmy sobie normalni, byli zdecydowanie zaangażowani po prawej stronie, byli ludzie, którzy drogą polityczną chcieli zrobić kariery naukowe, należeli do partii, no i byli tacy, którzy siedzieli w więzieniu. Miałam kolegę, który siedział w więzieniu za działalność polityczną, musiał bardzo na siebie uważać, żeby się nikomu nie narazić. Inny też cicho siedział, bo wrócił z zachodu, chodził w mundurze angielskim. Ja też byłam podejrzana, bo kiedyś przyszłam na wykład z numerem „Znaku”, a to czasopismo było w tym czasie podejrzane. Wiadomo więc było, że nie można mi ufać, i do tego jeszcze ten sabotaż... Na uczelni nie miałam co robić, bo nikt by mnie nie zatrudnił. Nie byłam ukierunkowana socjalistycznie, a wręcz przeciwnie, nie należałam do żadnych instytucji, należałam tylko do Bratniaka, ale specjalnie się do niego nie nadawałam. Była to taka organizacja pracy. Praca w Bratniaku była społeczna. Polegała na tym, że szło się do dziekanatu, wypełniało legitymację i wypisywało pocztę. Oczywiście mój charakter pisma nie odpowiadał im. Mówili, żebym lepiej tego nie robiła. Od zawsze miałam mało wyraźny charakter pisma, więc pod tym względem miałam kiepskie notowania. W czasie studiów byłam w duszpa-

sterstwie akademickim, ale na ten temat się nie mówiło. Tłumy się tam spotykały, wśród nich byli oczywiście konfidenci, a więc wszyscy, którzy się tam spotykali byli sprawdzani, obserwowani. Wszystko było wiadome, kto gdzie chodzi, z kim się spotka. Mąż mój też udzielał się w duszpasterstwie akademickim, był żołnierzem AK i w związku z tym nie miał świadectwa moralności, UB mu nie dało, nie mógł się dostać na studia. O mnie się nie dowiedzieli, że byłam prezeską Sodalicji, dobrze zdałam egzaminy i dostałam się na studia. Mój mąż nie dostał się na medycynę ze względu na swoją przeszłość i dlatego zdecydował się na biologię. Wiele moich koleżanek jeździło i zdało egzaminy w innych miastach. Dopiero jak się trochę wyciszyło, zatarło, a do tego pogubili dane, to dostały się na studia i je pokończyły. Za nami, ze względu na tę działalność w katolickich stowarzyszeniach, szła zła opinia. Ale chciałabym podkreślić, że zaraz po wojnie edukacja, instytucje społeczne, organizacje przejęły ducha międzywojennego, wszystko trzeba było robić na poważnie, z poświęceniem i zaangażowaniem. Życie trzeba brać poważnie i się do niego przygotowywać poważnie. Po doświadczeniach wojny, okupacji wszyscy wiedzieli, że życie jest poważne i nie ma w nim miejsca na manipulacje...

### ***Uczeń i student to była osoba...***

Szkoły po wojnie były organizowane bardzo odpowiedzialnie, jak wspomniałam, na wzorcach przedwojennych, przez przedwojennych nauczycieli, były dobrze prowadzone, dbano o młodzież, szanowano ją. Uczeń i student to była osoba. Pamiętam jak prof. Zajączkowski długo się przede mną tłumaczył, bo powiedział do mnie panna, a nie pani, a ja już byłam mężatką. Tłumaczył się niesłuchanie, jak on mógł nie powiedzieć pani, tylko panna. Między nauczycielem a uczniem, profesorem a studentem były podmiotowe relacje, traktowano wszystkich poważnie. Na egzaminy umawialiśmy się indywidualnie do profesorów. Nie było terminów egzaminów dla wszystkich, tylko każdy miał swój termin, swój czas na egzamin i rozmowę z profesorem. Nie było też poprawkowych egzaminów, był tylko pierwszy i jedyny. Albo się go zdało, albo nie. Za egzaminy się płaciło. Nie pamiętam ile. Na uczelniach panowały inne zwyczaje, było zdecydowanie inaczej niż dzisiaj, ludzie też byli bardzo zróżnicowani pod względem wieku. Niby byli młodzi, ale traktowało ich się bardzo poważnie, podmiotowo. Byli tacy zaraz po maturze, młodzi, ale byli tacy, którzy byli po partyzantce, z pewną historią. W relacjach koleżeńskich była duża tolerancja, ale też i pewne zasady. Ja na

przykład siedziałam tyłem do koleżanki, która była w OMTUR, w organizacji młodych robotników, była w ciąży i siedziała po innej stronie stołu. Panienki z jednej strony, a mężatki z drugiej.

### ***Profesor mnie tolerował, bo uważał, że jestem dowcipna...***

Jeszcze wrócę do szkoły. Miałymy w szkole wspianiałego nauczyciela, który był działaczem w PPS-ie. W tamtych latach wszystkie zajęcia powinny kończyć się modlitwą. U niego nie było mowy o wyjściu z klasy bez modlitwy. Jeżeli zaczynało się i kończyło matematykę, to wiadomo było, że będzie modlitwa. Bo on był bardzo skrupulatny. Profesor Franciszek Sadowski – tak się nazywał – bardzo lubił słodycze. W dniu jego imienin zawsze dawałyśmy mu serca w czekoladzie, a on był tym niesłychanie wzruszony. I zawsze pytał, „która panienka zanieś mi to do domu. Mam bardzo przystojnego syna...”. Oczywiście było bardzo dużo chętnych i myśmy mu zanosily te prezenty do domu. Profesor Sadowski mnie tolerował, bo uważał że jestem dowcipna. Sądził, że matematyki i tak się nie nauczę, więc głównie za dowcip stawiał mi trójkę. I za to, że nie ściągam. To byli naprawdę inni ludzie.

### ***Rękami i nogami się zapierałam, żeby nie pracować w szkole...***

Na studiach nie miałam wiele do czynienia z pedagogiką, znałam jedynie osoby, które studiowały pedagogikę społeczną. Głównie, i to z Sodalicii, Adama Stanowskiego, wyjątkowo zdolnego studenta, chyba najzdolniejszego na pedagogice, oprócz prof. Śliwerskiego. Adam Stanowski był żarliwym katolikiem, chciał wstąpić do zakonu. Nawet wstąpił do seminarium, ale potem wystąpił. Został potem senatorem pierwszej kadencji Senatu RP po upadku komunizmu, pracował na KUL-u, zrobił doktorat, ale się nie habilitował. Moim zdaniem profesurę miał w kieszeni, bo był to wyjątkowo mądry i zdolny człowiek. Czasami wyszukuję jeszcze jego artykuły na temat Heleny Radlińskiej czy samokształcenia. Adam studiował pedagogikę społeczną jako dodatkowy przedmiot.

Egzaminy zdawałam bardzo dobrze i w ciągu 4 lat skończyłam studia. Po studiach już byłam młodą matką i mężatką. To był okres, kiedy dostawało się przydział pracy. Rękami i nogami się zapierałam, żeby nie pracować w szkole i żeby tylko nie uczyła. Zastanawiałam się co tu zrobić, żeby uniknąć przydziału pracy. Dlatego najpierw pracowałam u prof. Serejskiego, ale

to była praca zlecona, nielicząca się. Chodziłam do niego na seminaria z historiiografii. Analizowałam między innymi poglądy pozytywistów w bibliotece Warszawskiej w Ateneum. I znowu marna sprawa, bo te piękne referaty napisane były przeze mnie odręcznie, więc prof. Serejski minę miał rzadką, nie mógł ich odczytać, zresztą prof. Zajączkowski też, bo mu pracę magisterską dałam odręcznie napisaną. Nigdy nie miałam umiejętności technicznych, więc nie nauczyłam się pisać na maszynie, a mogłam to zrobić, bo miałam maszynę w domu. Nie opanowałam tego. A to moje pisanie odręcznie kiepsko wyglądało.

Do prof. Serejskiego na seminarium przychodzili ludzie z doktoratami, po habilitacjach, profesorowie. To było wspaniałe seminarium. Referowaliśmy swoje prace. Moje opracowania były dobrze przyjmowane, ale nikt się nie spieszył, żeby mnie tam zatrudnić. Dłaczego, to wiadomo, poszukiwano jeszcze innych umiejętności, chociażby tych technicznych.

Pierwsza moja praca zawodowa była dzięki znajomościom, to była praca w Młodzieżowym Domu Kultury, który wówczas nastawiony był na prowadzenie zespołów – pracowni naukowych: matematyki, języka polskiego, historii. Ja prowadziłam pracownię z historii. Była też pracownia krawiecka, do dzisiaj jestem zaprzyjaźniona z panią, która prowadziła tę pracownię. Bardzo zacna osoba. Ta pani nosiła medalik. Powiedzieli jej, żeby go nie nosiła, a jak już musi, to niech zakłada bluzkę, żeby nie było go widać. Dyrektorem MDK w tym czasie była osoba prymitywna, ale bardzo zaangażowana partyjnie. Był to wróg numer jeden ludzi wykształconych. Na mnie krzywo patrzyła, uważała, że skończyłam studia, ale na pewno nic nie umiem. Z góry była o tym przeświadczona i czyhała tylko, kiedy może mnie stamtąd wywalić. Na szczęście miałam za sobą kierownika działu naukowego, który z kolei bardzo mnie szanował i mnie bronił. Bronił jednak do czasu, bo ona i tak mnie stamtąd wyrzuciła, ale to był okres Polski Ludowej, akurat zaszłam w ciążę z drugim dzieckiem i okazało się, że jestem pod ochroną, że nie można mnie tak po prostu zwolnić. I jeszcze do tego zaczęły się wydarzenia październikowe, to powiedziałam parę słów. Ponieważ byłam pod ochroną, to najwyżej można mnie było przenieść w inne miejsce pracy.

### ***Rekompensowali mi wszystko moi uczniowie, zachwycili mnie...***

W końcu przeszłam na zasadzie porozumienia do szkoły dla pracujących. Tam też mnie niezbyt chętnie przyjęto. Byłam w jakiś sposób zatwierdzona przez inspektora. Ale dyrektorka tej szkoły miała inne upodobania wo-

bec mnie. Była też historyczką, wdową po policjancie, który zginął w Katyniu, miała syna reżysera, który miał różne, głównie niezrealizowane albo zakończone niepowodzeniem, pomysły. Raz mu się wiodło, raz mu się nie wiodło. Źle była nastawiona do młodych ludzi. Dziwiło ją, że dopiero skończyłam studia i już będę uczyć. Przyszłam w złej aurze do tej szkoły, więc jak mogła, to też mi dołożyła. Gdy byłam w ciąży z trzecim dzieckiem, to mi do akt wpisała, że jak mogłam, przez mnie prawie szkoła się zawaliła, bo mi się zachciało być w ciąży w późnym wieku. Mam to w aktach pewnie do dziś, jeśli one gdzieś jeszcze są. W tym czasie nawiązałam kontakt z panią Krystyną Kierkuś, z którą byłam w dobrych relacjach. Ona pracowała w drugiej szkole dla dorosłych, była wicedyrektorką. Tam był dobry dyrektor i wszystko było w porządku, a tutaj to miałam mocno pod górkę. Rekompensowali mi wszystko moi uczniowie, zachwycili mnie. Byli bardzo zainteresowani, ciekawi wszystkiego, zaangażowani w swoją edukację. Szczególnie, gdy miałam zajęcia o Polsce współczesnej, zawsze mnie pytali, skąd to wiem, a milicjanci dopowiadali, że z Wolnej Europy, oni wiedzieli, skąd ja to wiem. Wolnej Europy słuchałam mniej, ale dużo wiedziałam z czasopism, szczególnie ze „Znaku”. Bardzo ciekawe artykuły pisał specjalista od polityki społecznej, prof. Krzyżanowski, pisał bardzo mądre, pouczające rzeczy. Regularnie czytałam „Tygodnik Powszechny” i „Politykę”, gdzie prof. Dębowski prowadził dział *Polska i Świat*, opisywał polityczne różne wydarzenia. Ja bardzo dużo czytałam, wycinałam te artykuły i z nich się przygotowywałam do lekcji, miałam najbardziej aktualne informacje. Szczególnie ONZ miałam dobrze wyuczone, wszystkie Drogowskazy Hamerszelda, ówczesnego sekretarza generalnego ONZ, który zaprotestował przeciw użyciu siły przez władze komunistyczne wobec strajkujących robotników w Poznaniu. Te zagadnienia rzeczywiście miałam bardzo dobrze opracowane i mogłam im dużo na ten temat powiedzieć. Najgorzej jak miałam wizytację na lekcji o Związku Radzieckim. To było traumatyczne wydarzenie, ci milicjanci; moi uczniowie byli cali przerażeni, miny robili, a mnie słowa grzęzły w ustach, jak miałam mówić o dobrodziejstwach, jakie są z tego Związku Radzieckiego. Oni już za mnie kończyli zdania i uzupełniali moje wypowiedzi. Widzieli, jak się męczę. Strasznie się wtedy spociłam, zmęczyłam, miałam wszystkiego dosyć.

Zakochołam się w moich uczniach, byli to bardzo szczerzy ludzie. Na przykład strażacy, panowie prości, ale bardzo szlachetni, grzeczni, dobrze wychowani. W mundurach nie przychodzili na lekcje, bo gdyby nie umieli, to by zbeczcęścili mundur. Wracali po pracy do domu, przebierali się w cywilne ubrania i przychodzili do szkoły. A jak gdzieś mnie spotkali, to się zatrzymywali i mówili: „Pani profesor, ja już tej lekcji się nauczyłem”. Albo się



tłumaczyli, że już opracowali tę lekcję, której się nie nauczyli, albo napisali prace domową. Kiedyś szłam z mamą, która była zadziwiona zachowaniem moich uczniów, szczególnie ich kulturą i wychowaniem. Nie do pomyslenia było, żeby uczeń nie przywitał się ze swoim nauczycielem, gdy go spotkał na ulicy. Ci strażacy wszystko bardzo przeżywali, byli zaangażowani w edukację. Jak miałam z nimi lekcje, a oni byli na służbie, to mnie nie wolno było wychodzić zza biurka, bo gdyby zawyła syrena, to oni natychmiast musieliby wybiec z sali i mogliby mnie przewrócić. Musiałam zatem bezpiecznie siedzieć za biurkiem. Jeżeli była to cała klasa strażaków, to zajęcia odbywały się u nich w jednostce, przy ulicy Wólczańskiej. A jak była klasa mieszana, to przychodzili do szkoły i uczyli się z innymi. Trzeba było wiedzieć, jak się u nich zachować. Wspominam ich nadzwyczajnie. Jeden z nich mieszkał w famułach, gdy zbierałam wywiady do mojej pracy doktorskiej, to go tam spotkałam. Bardzo mnie zafrapowała edukacja dorosłych, byli to ludzie prości, ale zaangażowani i rzeczywiście korzystający z edukacji. Starali się przekazać swoją wiedzę w domach, to czego się nauczyli. Byli dumni, że mogą ze swoimi dziećmi dyskutować, rozmawiać na temat historii, Mickiewicza czy jeszcze innych treści. Widać było ich satysfakcję z tego, co wiedzą.

I jakoś tak mnie ujęła ta oświata dorosłych, że weszłam do grona osób, które się nią zajmowały. Wśród nich była pani Maria Kalabińska, chciałybym, żeby prof. Pólturzycki opracował jej życiorys. Ona była bardzo zasłużona, pracowała w ministerstwie, dama, starsza kobieta, ale subtelna, zawsze elegancka. Miała niestety pecha, bo jej syn Jacek wyjechał do Ameryki, stał się znanym dziennikarzem i w tym momencie ona popadła w niełaskę. Jacek tłumaczył wystąpienie Wałęsy w Ameryce, to już wystarczyło, żeby ją odsunąć na bok. Była bardzo czynna, prowadziła Uniwersytet dla rodziców, bardzo dużo pisała w „Oświacie Dorosłych”. Była wyjątkowa, ona mnie ujęła. W Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Łodzi zaczęły odbywać się spotkania metodyczne z zakresu oświaty dorosłych, na które przyjeżdżał profesor Pólturzycki. Na konferencjach androginicznych z kolei spotkałam prof. Antoniego Gładysza, z którym się również zaprzyjaźniłam. W tym czasie działał Czesław Maziarz, którego dorobek bardzo cenię. To były wyjątkowe osoby. I tak zaczęłam pisać i zajmować się dorosłymi, zrobiłam doktorat. Moja praca doktorska ma zdecydowanie historyczne znaczenie. Został w niej zatrzymany i zarejestrowany obraz jakiejś instytucji, która się już nie powtórzy.

## **Ministerstwo Kultury kupiło mi zasłony...**

Na konwersatoria do profesora Kamińskiego zaczęłam chodzić od lat 60. Jak doszłam do prof. Kamińskiego, to było już jego „inne życie”. Najpierw stracił pracę na Uniwersytecie, potem wrócił, był reaktywowany. Ja dowiedziałam się o tych seminariach od dr Majewskiej. Ona była asystentką prof. Heleny Radlińskiej. Potem, jak reaktywowali pedagogikę społeczną, to wróciła na uczelnię, a razem z nią prof. Irena Lepalczyk. Ale dr Majewska była dla prof. Radlińskiej ukochańszą, zdolniejszą i bardziej była pedagogiem społecznym. Współpracowała z poradniami przeciwalkoholowymi, z więźniami, to była bardzo energiczna osoba. Tu, w naszej parafii prowadziła zajęcia dla studentów, opiekowali się domami dziecka, to był prawdziwy z natury społecznik. Współpracowała z Korczakiem w czasie wojny. Prof. Kamińskiego poznałam przez nią i przez ks. Króla, który kończył pedagogikę społeczną i był w dobrej komitywie z prof. Kamińskim. Gdy umarła matka profesora, to ks. Król był na pogrzebie. Także ks. Król i p. Majewska mnie zaprotegowali. Wtedy mój mąż był po doktoracie. Ja też chciałam robić doktorat, ale ten doktorat z historii coś mi nie podchodził. Pierwszy temat, który zaproponowałam Se-rejskiemu, spodobał mu się, ale potem ktoś inny go zrealizował. Ja już tego nie robiłam, potem chodziłam do takiego profesora, który był ekspertem w filmie *Krzyżacy*. Zapomniałam jak się nazywał. On zaproponował mi jakiś temat, ale nie bardzo byłam nim zainteresowana. W każdym razie doktorat z historii nie bardzo mnie pociągał. A u prof. Kamińskiego od razu stwierdziłam, że ludzie dorośli i historia to może być ciekawe połączenie. Zebrałam materiał i przyszłam do profesora już z pomysłem i tak się stało. Moje badania i cała praca była porządnie zrobiona i napisana. Na początku nie chcieli mi jej wydać. Dopiero redaktor w PWN dał moją pracę do jeszcze jednej recenzji prof. Trawińskiej. Ona jako socjolog napisała bardzo dobrą opinię, że to jest znacząca i rzetelna praca. Dopiero po jej opinii PWN zdecydowało się wydać moją książkę. Pamiętam jak pojechalśmy do wydawnictwa, a byliśmy umówieni na jedenastą, przyjechalśmy wcześniej 5 czy 10 min i przez ten czas chodziliśmy po korytarzu w tę i z powrotem, żeby punktualnie wkroczyć na spotkanie. Weszliśmy, a w wydawnictwie szybko i krótko zakomunikowali, że wydadzą moją pracę. I te pierwsze pieniądze, które dostałam, nie pamiętam ile, ale były znaczące. Każdy grosz się liczył. To były pieniądze na wagę złota. Mało się zarabiało, a potrzeby były duże. Wspominając tę sytuację mówię, że Ministerstwo Kultury kupiło mi zasłony. Już ich nie mam, ale były piękne, z płótna. Wtedy każdy grosz się liczył. Były małe pensje, zarobki małe, dzieci rosły, potrzeby duże. I tak weszłam w tę oświatę dorosłych.